

Nowa książka autorki CZUŁEJ PRZEWODNICZKI

NATALIA DE BARBARO

# PRZĘDZA

W POSZUKIWANIU WEWNĘTRZNEJ WOLNOŚCI



PRZĘDZA



NATALIA DE BARBARO

# PRZĘDZA

W POSZUKIWANIU WEWNĘTRZNEJ WOLNOŚCI





*Marysi i Agnieszce*



## Początek splotu

Szukam spotkania z pojedynczą tobą.

*Wiem, że czytasz ten wiersz  
Późno, zanim wyjdiesz z biura  
Przy mocnym, żółtym świetle lampy, za oknem zapada już mrok<sup>1</sup>.*

Jesteśmy: ty i ja. Ty, która czytasz, i ja, która piszę.

Papier albo ekran pod twoimi palcami, głos w twoim samochodzie, kiedy już zawiozłaś dziecko do szkoły. Kładka, na której się spotykamy, zdanie po zdaniu. Tkanka twojego i mojego życia. Wszystko inne to abstrakt. Potrzebny, żeby zobaczyć całość i siebie samą osadzić w kontekście, ale abstrakt. A nasze spotkanie jest teraz.

*Wiem, że czytasz ten wiersz  
W pokoju, w którym wydarzyło się więcej, niż mogłaś znieść.  
Na łóżku leży zwinięta w kłęb narzuta  
I otwarta walizka mówi ci o ucieczce,  
Ale ty nie potrafisz jeszcze odejść<sup>2</sup>.*

---

<sup>1</sup> Adrienne Rich, „Dedications”, tłumaczenie własne.

<sup>2</sup> Jw.



Ta książka rodzi się we mnie z mieszanki uczuć – nie z jednego. Pierwszy jest smutek – bo patrzę z bardzo bliska na kobiety, które trwają w jakimś zneruchomieniu, chociaż, paradoksalnie, są w ciągłym ruchu. Ile jest kobiet, które nie żyją swojego życia? Zadawałam to pytanie dziesiątki razy i na różne sposoby, tak bardzo nie podobała mi się odpowiedź. Ale wątek życia nie swoim życiem powtarzał się, kiedy rozmawiałam z moimi przyjaciółkami, kiedy słuchałam historii uczestniczek warsztatów, które prowadzę, wracał w pięknych listach od czytelniczek „Czułej Przewodniczki”.

I jak bym nie zadawała pytania, odpowiedź nie chciała się zmienić.

Pojawia się więc we mnie poczucie wielkiej straty, jakiegoś kompletnego bezsensu, wielkiego nieporozumienia, potem oburzenie i teraz – palce na klawiaturze, ufność, że jesteś tam, żywa, z jakimś losesm, może sceptyczna, może zmęczona, może otwarta, może wzruszona, może ironiczna – nadzieja, że możemy się spotkać i że to spotkanie i dla ciebie, i dla mnie będzie ważne.

Widzę je jako rodzaj wspólnej wyprawy w poszukiwaniu wewnętrznej wolności – nie takiej wolności, którą ktoś tobie albo mnie miałby wręczyć, ale tej, którą możemy znaleźć w swoim środku.

Siadam do pisania w przeczuciu, że jeśli uda mi się opisać świat, za którym tęskni moje serce, będę miała więcej odwagi, żeby go odwiedzać. A potem – żeby w nim zamieszkać. Ten akt sięgania po to, czego chcę, nie jest jakimś błahym kaprysem – jest, tak to czuję, istotą praktykowania swojej wewnętrznej wolności.

Za oknem mojego pokoju jest chłodna wiosna, dalej, na południe, jest miasto i jego gwar. Na wschodzie jest wojna, która łamie mi serce – ale teraz, dla tego spotkania, chcę je skleić.

Zaczynam z obawą i wiem, że ona będzie mi towarzyszyć, nasilać się i słabnąć w trakcie pisania, tak jak i twoje obawy wokół twoich zamierzeń nasilają się i słabną. Patrzą na półkę z książkami obok i wiem, że ich autorki i autorzy też czuli niepokój: tak to działa, po prostu.

Najbardziej pomaga mi wiara w to, że ty tam jesteś, żywa, i że uda się przekroczyć taką drobną okoliczność jak to, że się nie widzimy i – teoretycznie – nie znamy: bo jest też tak, że się widzimy i znamy.

*Wiem, że czytasz ten wiersz, podchodząc do kuchenki, gdzie podgrzewasz mleko.*

*Na twoim ramieniu płacze dziecko, w drugiej ręce trzymasz tę książkę,*

*Bo życie jest krótkie, a ty też jesteś spragniona<sup>3</sup>.*

W cokolwiek czuję się zaplątana, w cokolwiek ty czujesz się zaplątana, wiem w swoich kościach i trzewiach, że naszym najbardziej doniosłym zadaniem jest szukać sposobów, by siebie wyrażać i żyć swoje wolne życie.

*Wiem, że czytasz ten wiersz, czegoś nadśluchując,*

*Rozdarta pomiędzy goryczą i nadzieją*

*Jeszcze raz zwracasz się ku zadaniu, przed którym nie cofniesz się<sup>4</sup>.*

---

<sup>3</sup> Jw.

<sup>4</sup> Jw.





## Tkanie i celowanie

Moja przyjaciółka pojechała na narty ze swoją rodziną. Mąż, żona, syn, córka, wszyscy dobrzy narciarze.

– Ale wiesz – powiedziała mi potem – zupełnie inaczej jeździliśmy. Mój mąż i syn to tylko stawali na górze i dawaj! W dół, jak najszybciej, jak najkrótszą trasą. I oczywiście ścigali się, który pierwszy przy wyciągu. A ja to zupełnie inaczej – tu mnie jakiś widok piękny zatrzyma, tu stanę, żeby sobie tym powietrzem pooddychać, tu mnie zaciekawi jakiś boczny szlak, którym jeszcze nie jechałam – no zupełnie inaczej, chociaż niby ta sama trasa!

Kilka chwil po rozmowie z przyjaciółką usiłowałam napisać SMS-a do mojego męża. Pisząc, używam funkcji *swype* – przeciągam palce pomiędzy kolejnymi literami słowa, nie odrywając ich od klawiatury. Jak się człowiek dobrze dogada z telefonem, to można to robić bardzo szybko, prawie w tempie mówienia. Ale miałam nowy telefon i nie szło mi najlepiej, chociaż mam w palcach pamięć klawiatury, bo od ponad dwudziestu lat piszę bezwzrokowo. Teraz jednak telefon nie mógł odczytać moich intencji i ciągle źle zgadywał słowa. No więc piszę do mojego Wojtka „zmarzłam”, a tu wychodzi „zmarłam” (na szczęście nie wysłałam). Nożeż, niech cię szlag, teraz życzę śmierci telefonowi prawie, a przynajmniej tej funkcji, najwyraźniej na to, co ja piszę,



sklepem. Tfu, ślepej. I wtedy mnie tknęło – może ja używam tego *swype* tak jak tamta koleżanka zjeżdżała z góry, a twórcy aplikacji, jak wielu niestety twórców, pisali ją raczej pod jej męża i syna? Zaczęłam poruszać się pomiędzy literami najszybszą i najkrótszą trasą, co było nawet logiczne, ale dla mnie bynajmniej nie odruchowe. I stał się cud – mój telefon mnie zrozumiał! Równocześnie moje palce czuły się w tych ruchach po najkrótszej i nie-meandrowatej trasie jakoś nienaturalnie. Jakbym była robotem.

Wtedy jeszcze przypomniało mi się, jak w podstawówce mój nauczyciel wuefu z umiarkowaną życzliwością żartował sobie ze mnie, że w sumie to bardzo szybko biegam, tyle że mój wynik na 60 metrów to wynik na 90 metrów, ponieważ nigdy nie trzymam linii prostej.

I teraz też – piszę te słowa, ale nie szukam jak najszybszej trasy. Zatrzymuję się i gapię się za okno. Zagapiam się na kosa. Na lipę. Coś kminić zaczynam. Wiersz mi się przypomina, potem zaczynam szukać tomiku na półce, ale znajduję inny i o tamtym, pierwszym, zapominam. Mój umysł lubi się guzdrać, wałęsać się, zmieniać trasę. Nie wiem, o czym napiszę za chwilę. Nie mam planu – mam tylko rozłożony na podłodze kolaż, którego sama nie rozumiem, wyklejony na brystolu w kolorze bakłażana (stałam przed półką z brystolami piętnaście minut) – i, obok tego kolażu, jeszcze krosna tkackie, które przyniosła mi moja przyjaciółka jako inspirację do książki, utkane może w jednej piątej z kolorowych nici.

Jak by to było, gdyby ktoś stanął nade mną, gdybym sama nad sobą stanęła i zaczęła się poganiać? „Szybciej, więcej znaków, efektywniej?! Do celu, do brzegu!” Kiedy zamykam oczy

i uruchamiam w sobie ten obraz – ktoś wchodzi, krzyczy tak na mnie – od razu widzę siebie, jak wściekła wstaje z fotela, odsuwam laptop (może bym i pieprznęła nim o ziemię, ale mi szkoda) i wychodzę, trzaskając drzwiami.

Ta różnica – na stoku, na *swype*, na bieżni codziennych dni – wydała mi się znacząca.

Wiem, że są dwa sposoby poruszania się po świecie.

Ta obserwacja nie jest nowa. Właściwie jest stara jak ludzkość. Antyczni filozofowie chińscy mówili o yin i yang. Sanskryt pisze o Sziwie i Siakti. Jungiści – o męskiej i żeńskiej energii. A jednak poczułam, że potrzebuję nowego, zmodyfikowanego opisu – i przeczułam, że może nie ja jedna.

Błądząc w poszukiwaniu metafory, zapisałam się na lekcję tkactwa i lekcję strzelania z łuku.

### „Nie spuszczaemy wzroku z tarczy”

Lekcja strzelania z łuku jest bardzo dyrektywna. Cała rwę się do pytań, ale nauczyciel prosi mnie, żebym poczekała z nimi, aż on skończy mówić. On jest nauczycielem, ja jestem uczennicą i jest to sytuacja, która wymaga hierarchii. Boże, przecież tych pytań już wtedy nie będzie, rozpaczam w głowie, ale milczę. Nauczyciel opowiada o różnych szkołach łucznictwa i jego historii. Jest mi to totalnie obojętne. Siedzimy na łące, pod starą jabłonią. Między rozbudowanymi instrukcjami następują ćwiczenia. Zapomniałam przynieść rękawiczki, które powinnam mieć na ręce trzymającej łuk, więc cięciwa wpija mi się w palec. Najpierw ustawiam ciało – stopy na linii, tak skierowane ciało.

– Celujemy ciałem – mówi nauczyciel w liczbie mnogiej o moim pojedynczym ciele. – Nie spuszcza my wzroku z tarczy.

Wyjmuję strzałę i napinam łuk, potrzebuję włożyć w to siłę ramion, które są u mnie dość słabe. Napięcie, napięcie łuku i napięcie energii wewnętrznej, skupienie na tym, żeby trafić.

– Ręka nie może drgnąć – dodaje nauczyciel.

Idzie mi średnio, bardzo średnio, ale nauczyciel znajduje świetne sposoby, żeby mimo wszystko pokazywać mi – za przeproszeniem – progres. Coraz więcej strzał muska tarczę. Coraz więcej strzał łąduje w świetle tarczy, czyli kiedy idziemy je zbierać, to nie zwiedzamy całego pola, tylko okolice tarczy. W końcu zaczynam trafiać, przynajmniej kilka razy. W międzyczasie podziwiam to, jak strzela nauczyciel – oddala się od tarczy o kilkadziesiąt metrów, staje i strzela. Wtedy ja, stojąca w pół drogi pomiędzy nim a tarczą, patrzę na strzałę mknącą w stronę dziesiątki. To piękny widok i wspaniały dźwięk – strzała mknie i wie, dokąd mknie. Z góry było wiadomo, że tam skończy swoją szybką drogę.

Kończę z otarciem na kciuku, podziwem dla łucznictwa i pewnością, że nie jest to coś, co rozpoznaję jako moje. Nauczyciel mówi, że to była najbardziej niezdyscyplinowana lekcja, nie pamięta, od kiedy. Ja jemu – że to były najgrzeczniejsze trzy godziny w moich ostatnich miesiącach. Rozstajemy się w sympatii.

### „To, co przepuszczam przez ręce”

Spotkanie z tkaczką, Anką Sawicz, która prowadzi Pracownię T., jest inne.

Anka pyta, jaką chcę herbatę, siadamy w pokoju wypełnionym kilimami, workami różnokolorowych włóczek, drewniane krosna oparte są o półki, wokół biega młody pies, który absolutnie nie zamierza pozostać w cieniu. Siadamy przy stole, Anka zaczyna od pytania, czego chcę. Chcę doświadczyć tkania, mówię. Nie zależy mi, żeby nauczyć się, żeby umieć, żeby mieć osiągi. Chcę doświadczyć w swoim ciele, jak to będzie – tkać. Chcę dotknąć słów, którymi opisuje się tkanie, bo bardzo mnie one poruszają i każde, które słyszałam, wydaje mi się piękne. Chcę być w języku i doświadczeniu tkania. Mówię jej dlaczego – że chcę, żeby tkanie stało się metaforą mojej książki, że wszystko, co ona mówi, od razu mi się w głowie przemłóca na metafory. Widzę, że ona ma tak samo – więc przy co drugim jej zdaniu obie wybuchamy śmiechem, bo wszystko nam się kojarzy z jednym – z życiem.

Patrzemy tak: drewniana rama, wewnątrz której odbywa się życie. Cztery deski zbite ze sobą – ta rama tu się zaczyna i tu się kończy; urodziłam się i umrę. W środku są naciągnięte na małe gwoźdźdiki nitki osnowy. Widzę je jako coś na kształt losu: uwarunkowania, wydarzenia, to, co dane i nieprzekraczalne; urosnę do 158 centymetrów i ani centymetra więcej, będę mieć niebieskie oczy, urodzę się bardzo młodym rodzicom, niecałe siedem lat po mnie urodzi się mój brat, Kuba.

Anka tłumaczy mi, że nitki osnowy powinny być mocne, żeby utrzymać ciężar wełny. Jeśli len jest złej jakości, będzie się przecierać.

– Czy, jeśli osnowa jest słaba albo jeśli się zerwie, można ją naprawić? Dosztukować? – pytam i czuję, jakby odpowiedź na to pytanie była strasznie ważna, rozstrzygająca: czy jeśli ktoś urodził



się i wzrastał w jakichś okropnych okolicznościach, to ma jeszcze szansę? Anka mówi, że można naprawić osnowę, i obie śmiejemy się z ulgą.

Patrzę na gobeliny i ich niezwykłą precyzję, ale najbardziej pociąga mnie druga, lewa strona – tam, gdzie nitki urywają się i związane są na supełki, tam, gdzie jest nierówno, coś wystaje, linia wzoru przestaje być prosta. Nitki nie muszą być wełniane. Mogą być jedwabne, bawełniane, można ciąć stare podkoszulki czy worki w wąskie paski i wtedy powstaną z nich nici. Można siebie pleść. Ale trzeba wiedzieć, jaka tkanina czego wymaga: farbowana wełna nie może być trzymana w miejscu słonecznym, bo zblaknie, ani w wilgotnym, bo nasiąknie.

Zaczynam tkać i to jest proste – palce bez pośpiechu przekładają nitkę w wybranym przeze mnie ciemnoczerwonym kolorze – raz górą, raz dołem, pomiędzy niemi osnowy. Czasem się myślę i cofam. Kiedy dochodzę do końca rzędu, podnoszę lekko nitkę, robię „górkę”, a potem dosuwam palcami w dół, tak żeby nić ułożyła się miękko.

– To, co przepuszczone przez ręce, jest pozbawione fabryczności – mówi Anka, a ja bardzo to czuję: kiedy dotykam nici, kiedy w jakimś sensie niezgrabnością moich palców, brakiem wprawy, pomyłkami, stawiam opór tam, gdzie fabryczna maszyna po prostu jechałaby bez wahania, tam powstaje to, co moje. Robię coś, co nazwałabym żmudnym, ale zupełnie takie nie jest – dotykam kolorowej wełny i lnianych nici; tkam też, razem z Anką, rozmowę – jestem w domu, tutaj jest mój dom.

Czasami milkniemy. Czasami zatrzymuję się, przeplatając czerwoną nitkę wątku palcami, raz górą, raz dołem. Anka nie pyta mnie, czemu się zatrzymałam, i nie zagaduje.

Kiedy od niej wychodzę, zanim włączę silnik samochodu, siedzę przez chwilę w milczeniu. Zamykam oczy i widzę pod powiekami ten obraz – łuczniczka wchodzi do pokoju, odkłada łuk, siada do krosen.

Wolę tkąć, niż mierzyć do celu.

## Ławeczki

Wierzę w moc pauzy, pytań, przestrzeni wewnętrznej i przekształceń, które mogą się w niej dokonać.

To jest tak, jakbym gdzieś szła, ale raz na jakiś czas siadała na ławeczce. Tam przysiadają się do mnie pytania. „To pytania zatrzymują słuchacza, odpowiedzi – nigdy” – mówi w filmie „Tár” genialna kompozytorka i dyrygentka, grana przez Cate Blanchett.

Jako miejsce na pytania wybrałam ławeczkę. Tutaj będę wracać.

Na ławeczce jest miejsce dla więcej niż jednej osoby. Jeśli podejdziesz do niej i spytasz: „Czy można?” – zawsze, za każdym razem, odpowiem: „Siadaj, proszę”. W sumie nawet nie musisz pytać.

### Ławeczka

*Z czego jestem?*

*Jakie nitki we mnie się plotą?*

*Która się rwie?*

*Jak to wygląda, kiedy odwrócę krosno?*

*Pod powiekami widzę krosna, które stoją w moim pokoju.*







## Tkaczka, nie łuczniczka

Kminię to od miesięcy. Rozmawiam z Joasią Szulc, moją wspa-  
niałą redaktorką. Z mężem rozmawiam. Z przyjaciółkami. Z ro-  
dzicami. Z sobą, codziennie, nawet kiedy chciałabym przestać.

Ostatecznie (ostatecznie???) wykminiam tak.

Przez większość czasu wolę tkać, niż celować. Wśród zna-  
jomych mi kobiet więcej jest takich, które z duszy – chociaż  
często nie z nawyku – mają podobnie. Wśród znanych mi męż-  
czyzn większość zdaje się lepiej czuć w celowaniu niż w tka-  
niu; chociaż znam też kilku tkaczy. Mogę się mylić. Moje staty-  
styki mogą być stronnicze. Bańkowe. Nie wiem, jak te propor-  
cje zmieniłyby się, gdybyśmy byli wolni od patriarchy. Ale  
jestem dość przekonana, że świat, który potrzebuje i mierze-  
nia do celu, i tkania, wychylony jest za bardzo w stronę tego  
pierwszego. Te i ci z nas, którzy wolą tkać, siłą nawyku, kodu  
kulturowego, swojego własnego losu – mierzą do tarcz częściej,  
niżby chcieli, i przez to jest im gorzej. Świat jest ustawiony  
pod tych, co mierzą do celu, a nie pod tych, co tkają, więc ci, co  
tkają, rzadziej są u siebie w domu.

Tkanie jest dla mnie o tym, że chcę mieszkać w swoim  
własnym życiu. Chcę odnajdować to, co jest moje, i bawić się  
tym. Chcę żyć poprzez swoje ciało, patrzeć, słuchać, wachać,  
smakować i dotykać świata. Chcę patrzeć na rzeczy z bliska.  
Karmi mnie energia równości, przyjaźni, miłości. Ciekawią mnie  
drogi prowadzące w głąb.

Mam bardzo mieszane uczucia wobec słowa „sukces”. To nie  
jest słowo z mojego pierwszego języka.

Właściwie większość tej książki będzie o tym, jak można na nowo zamieszkać w codzienności urządzanej pod kogoś innego, albo raczej – przeprowadzić tej codzienności remont; jak wrócić do swojego pierwszego języka zamiast pilnować, żeby nie było znać akcentu w naszym drugim języku.

Nie mam żadnej pewności, że to, co nazywam moim drugim językiem, jest też twoim drugim językiem – i czy nasz pierwszy język jest podobny. Mam daleko idące podejrzenia, że tak jest – i to musi mi wystarczyć, żeby dać sobie prawo pisać. Ryzykuję.

Rzadko kręci mnie poruszanie się jak najkrótszą trasą – od celu do celu. Kiedy słyszę, że można więcej, szybciej, wyżej, dalej – czuję, że ja tak nie chcę: że bliżej mi do „bliżej”, że często wolę wolniej, że chcę zgłębiać, a nie popylać do przodu.

I jeszcze jedno – chociaż wiem, że energia mierzenia do celu bywa niezbędna, i lubię jej używać, to nie jest moja pierwsza energia. Chociaż codzienność odbywa się poprzez czasowniki – tkam, celuję, tkam, tkam, celuję – rozpoznaję w sobie też coś mniej płynnego, bardziej rdzennego: tożsamość. Jestem tkaczką. Jeśli biorę do ręki łuk, jeśli mierzę do celu, to robię to w służbie tej pierwszej tożsamości.

Bliżej mi do tkania, przeplotu, podróży nitki, czasem rwanej, przeplatanej igłą albo palcami, w medytacyjnym rytmie góra-dół, zmienianiu kolorów nici, przeciąganiu palcami po naciągniętych niciach lnu, bez celu.

Dalej mi do łuku i tarczy: tam cel jest wyraźny, mam trafić do tego celu, z góry wiadomo, gdzie on jest, siła ramion i niewzruszoność ręki, zastygnięcie ciała – to wszystko ma sprawić, że będzie tak, jak postanowiłam: środek tarczy.

## (G)PS.

Tamtego dnia prowadziłam warsztat w niezwykłym miejscu, stworzonym przez Monikę Nowak, coaczynię. Nazywa się „Wykno, Miejsce Kameralnych Spotkań”. Cały dzień rozkminy, zgłębiania, serdeczności, pyszne jedzenie, brzeźniak za wielkim oknem, na środku sali świeczki, kwiaty, chusteczki do płakania. Żadnych slajdów, żadnego „po zakończeniu szkolenia będziesz umieć...”, żadnego działania z energii zamyśłu, słowem: cały dzień tkania.

Kiedy skończyłyśmy, pojechałam do hotelu drogą wśród sosnowych lasów. Wybrałam miejsce na nocleg prawie godzinę od miejsca warsztatu, właśnie dla tych lasów, dla drogi przez nie wiodącej oraz dlatego, że sam hotel też stał w lesie. Kiedy weszłam do pokoju, usłyszałam dźwięk powiadomienia z telefonu. Nożeż! Wydawało mi się, że wyłączyłam wszystkie alarmy, poza tymi z SMS-ów, z tego prostego powodu, żeby moje życie nie zapiczyło się doszczętnie. A jednak coś się przez te zapory przedostało i piknęło. Biorę telefon i omiatam powiadomienie rozdrażnionym wzrokiem. A tam mnie Ktoś/Coś pyta, czy cel osiągnęłam! Wciąż rozwibrowana energią warsztatowego spotkania rozpoczynam zatem tyradę kierowaną ku ścianom hotelowego pokoju oraz ku temu, kto do mnie tutaj coś samozwańczo wysyła.

– Cel! – oburzam się. – Znowu ten cel! Wszystko wokół celu, szlag może człowieka trafić z tą celowością, no nawet tu, w lesie sosnowym człowieka to dopadnie! Odpierniczcie się ode mnie w końcu z tymi celami! Może mnie jeszcze spytacie, gdzie chcę być za pięć lat?! – Ściany cierpliwie przyjmują mój podkurw, telefon też milczy, w końcu i ja milknę, z sił opadłszy. I znowu sięgam



po telefon, żeby muzykę jakąś relaksującą włączyć. I doczytuję tamto powiadomienie.

To był GPS. Ten sam, który przez drogi wśród lasów doprowadził mnie do hotelu, gdzie sama bym w życiu nie trafiła.

No w sensie – *sorry!* *Sorry*, GPS-ie, tak, dotarłam, dzięki tobie dotarłam, od punktu A do punktu B, to dzięki twojej niemeandrycznej naturze będę spała w łóżku, a nie w samochodzie! O Jezu. Przepraszam cię, GPS-ie!

Czasami energia celowania jest niezbędna. Nawet jeśli jestem tkaczką, nie przejdę przez dzień bez energii celowania.

Czasem też totalnie mi smakuje energia mierzenia do tarczy, wygrywania. Na przykład dzisiaj – gardło mnie jeszcze boli po wczorajszym meczu. Polscy siatkarze wygrali w tie-breaku z Iranem w ćwierćfinale Ligi Narodów. Spędziłam dwie i pół godziny, na zmianę wiwatując i łapiąc się za głowę, rzucając kurwami i bijąc brawo (mecz był zacięty). Zachwycała mnie prędkość piłki przy asach serwisowych, precyzja uderzeń w kontratakach, skupienie zawodnika, który serwuje – no i to, że nasi wygrali, a tamci przegrali. Odbyłam wycieczkę do świata innego niż tkacki – i było mi tak dobrze na tej wycieczce! Uwielbiam kibicować i tęsknię, kiedy przez dłuższy czas nie ma żadnego meczu albo zawodów, które chciałabym oglądać. A kiedy jest mecz! Często moja pierwsza myśl o poranku to właśnie ta – dzisiaj mecz!

Ale mecz to tylko mecz. Wyścigi to tylko wyścigi. Jeśli wyścig jest zabawą, jestem o siebie spokojna; jeśli jest odwrotnie, zaczynam się sobie przyglądać.

Ważnym kawałkiem energii tkania jest dla mnie to, że to energia „jedno i drugie”, a nie – „jedno albo drugie”. Więc w tkaniu



jest też miejsce dla celowania, w celowaniu – dla tkania. Nie postuluję, żeby tkanie wygrało z celowaniem.

Szukam wolności wyboru, bo chcę żyć swoje własne życie.

Punktem wyjścia jest świadomość: widzę, czemu podlegam. Jeśli nie widzę, nie ruszę w inną drogę i nie znajdę swojego domu. Głodna miłości, uczona układności wobec zastanego świata, spięta gorsetem oczekiwań wkroczyć w dorosłość, w świat, który mówi mi: celuj, to może dostaniesz celujący. Zobaczyłam to kiedyś na swoim kolażu, który robiłam sobie po nic: skleiałam ze sobą dwa fragmenty tytułów z jakiegoś magazynu: „Pięć gwiazdek/to za mało na szóstkę”. W tym świecie wyścig zaczyna się dźwiękiem budzika – i nie ma mety.

Jeśli chcę dać wyraz sobie samej, potrzebuję widzieć jasno i decydować.

## Ramię w ramię

Tkanie jest piękne. Celowanie jest piękne.

Ale jedno i drugie zdaje się wynaturzać, kiedy nie towarzyszy mu drugie. Tkanie bez celowania staje się splątaniem: siedzę, kminię, patrzę, ale nie wiem, ku czemu, i nie wstaję z krzesła.

Celowanie bez tkania staje się mechaniczne. Jak napisał Robert Bly, „żołnierz bez króla staje się najemnikiem”. Nie ma oddechu, obecności, ciepła – są tylko targety i osiągi.

I czuję, że totalnie potrzebujemy spotkania – nie tylko Tkaczki z Łucznikiem, ale też, odczasownikowo, tkania z celowaniem, przepłotu jednego i drugiego, w każdym dniu naszego życia. Potrzebujemy wewnętrznego i zewnętrznego przymierza pomiędzy tymi dwoma sposobami poruszania się po świecie.



AKSAMITNA WSTAŻKA:  
ZABAWA, A NIE ZNÓJ





## Rushmageddon

Kiedyś wróciłam z warsztatów dla kobiet, z kolejnym workiem historii o wielkich ciężarach dźwiganych przez nie na co dzień. Następnego dnia wpisałam w wyszukiwarce na YouTube hasło „runmageddon”.

Zobaczyłam ludzi biegnących z workami na plecach, pełzających po torach pod drutem kolczastym; ludzi, którzy szybkim krokiem szli z ogromnym żelaznym łańcuchem owiniętym dookoła szyi, skaczących przez głębokie rowy, ciągnących opony, noszących drewniane kłody na plecach, wspinających się na rury, skaczących do lodowatej wody. „Niesamowita satysfakcja na samym końcu biegu”, powiedział jeden z zawodników.

Naprawdę mu wierzę.

I naprawdę tak nie chcę.

Szukając metafory na codzienność kobiet, które spotykam, ułożyłam słowo „rushmageddon”.

Kiedy moje życie jest jak rushmageddon, jestem w nim trwale nieobecna. Na zewnątrz – w ciągłym ruchu, wędnię od środka. To jest jak trwałe porzucenie: jestem jak dziecko, którego matka wyszła i nie wraca, godzinę, dwie, trzy, nie ma jej wieczorem ani

następnego ranka, aż w końcu rozumiem – ona nie wróci. Wtedy to małe zostaje zamrożone.

Częścią rushmageddonu jest to, że należy go wykonywać tak, żeby nikt się nie zorientował, że jest ciężko. Bo jednym z zadań, które stawia się przed kobietami, jest rozświetlanie codzienności kolegom z biura, partnerom i szeroko pojętemu społeczeństwu.

Uczestnicy i uczestniczki runmageddonu wyraźnie się męczą: sapią, stękają, klną, pocą się i dyszą. – No nic dziwnego – mówię, patrząc na to z głębokości mojego fotela, zagryzając swój podziw jakąś przekąską, zgoła nieprzypominającą marchewkowych słupków. Tymczasem w rushmageddonie ma być tak jak w tamtym artykule o tańcu, który kiedyś przeczytałam: „Trudny widać na próbach – pisze autorka – na scenie pozostaje już tylko czyste piękno i radość”. Wszystko ma wyglądać tak jak w długiej i pięknej reklamie pewnej marki jubilerskiej. Na grudniowym ganku kwitną róże. I pachną! Wiemy to, bo aktorka reklamująca markę je wącha. Super, prawda? Jakie piękne te moje róże, jak cudownie relaksować się ich zapachem tuż przed świętami, wszystkie tak przed świętami robimy, wszystkie przed świętami tak się relaksujemy, żeby wdychać całą jędrną (mimo trójki dzieci) piersią tę cudowną przedświąteczną atmosferę! Wąchamy róże na swoich grudniowych gankach, a jeśli nie w te święta, to na pewno w następne, jeśli tylko kupimy bransoletkę czy kolczyki! Ty nie wąchasz?! No to zacznij, czas najwyższy, wystarczy pokochoać siebie i zaraz zakwitną! Że nie masz ganku? No co ty, jak nie masz!?! Wszyscy mają ganki!

Ganek jest częścią niewidzialnej klatki. Pionowe kraty zrobione są z „jak wyglądam”, a poziome – z „co ludzie pomyślą”.



W dodatku wszyscy wokół wydają się całkiem swobodni w swoich szerokich uśmiechach. I czujesz się głupio, że akurat ty jedyna czasami masz wszystkiego centralnie dość. „Dziwne, u mnie wszystko działa!” – mówi Informatyk z Surowej Komisji, patrząc na twoje życie.

Kilka lat wcześniej, zanim powstała wiekopomna reklama i zanim mój worek z historiami o rushmageddonie stał się cięższy niż ten, który dźwiga Święty Mikołaj, siedziałam w kręgu kobiet w starej krakowskiej kamienicy.

– Ja już mam dość tej opowieści! – powiedziała jedna z nich. – O tym, że trzeba cierpieć, żeby się rozwijać, że ja się muszę dociskać, żeby coś znaczyć. W ogóle nie mam na to ochoty. Ja sobie chcę wzrastać poprzez przyjemność. Albo nie wzrastać. W ogóle nie wiem, czy chcę wzrastać. Ale na pewno nie będę robić sobie z życia jakiegoś pola bitwy i wysyłać się co chwila na jakiś front! – tak powiedziała i jeszcze zagryzła to kawałkiem czekolady mlecznej z orzechami.

No weź. No jak to. W sensie – że można inaczej? W kręgu się nie oceniamy, nie podważamy, słuchamy jeno z uwagą oraz nie wchodzimy w polemikę – siedziałam więc z pozornym spokojem i pomieszczałam w sobie swój wstrząs. Przyjemność? No owszem, jako przerywnik od znoju! Ale żeby tak zaraz jako forma życia? Główna aspiracja? To było obrazoburcze. Nie byłam jednak pewna, przeciwko komu dokładnie bluźniła moja kręgowa siostra oraz komu i czemu ja oddawałam cześć, że zobaczyłam to jako bluźnierstwo.

A jednak te słowa zaczęły puchnąć we mnie, wracać do mnie i do moich wrót kołatać; wracały do mnie raz po raz jak namolny



akwizytor; nie dawały o sobie zapomnieć. Ten pomysł na życie nie-bitewne, niewyczynowe, przepełnione lekkością pociągał mnie jak George Michael w czasach młodości, zanim się okazało, że nigdy nie miałam u niego szans i on u mnie też nie.

Nie żebym przestała rozumieć, że życie jest ciężkie, ale zaczęłam podejrzewać, że może być też lekkie, przynajmniej czasami. Oraz że ja sama mogę szukać w nim lekkości, a nie ciężaru, że mogę wybierać, posługując się językiem biznesowym, strefę komfortu zamiast się z niej katapultować za każdym razem, kiedy się przyłapię na tym, że gdzieś spoczęłam i że na przykład patrzę sobie na kosa, który przysiadł na parapecie.

– Jesteś w strefie komfortu! – pohukujemy na siebie nawzajem i na siebie same. – Wyjdź ze strefy komfortu, wychodź, no prędzej! – wołamy, jakby strefa komfortu była jakimś terenem skażonym albo co najmniej miejscem dla cieniasów, a przecież w życiu trzeba być twardym i walecznym.

– O Jezu, nakryli mnie w strefie komfortu, muszę natychmiast stąd uciekać!

Nasz język aż ugina się od bitewnych metafor: mierzymy się z rzeczywistością, pokonujemy własne słabości, przełamujemy siebie, walczymy z chorobą, walczymy z czasem, zmagamy się z przeciwnościami losu, bronimy swojego stanowiska. Krew, pot i łzy.

Ale w gruncie rzeczy wcale mnie nie zachwyca, że Bóg/Bogini/Kosmos/Siła Wyższa/Niższa wystawia nas niejednokrotnie na próby najcięższe. Często wołałabym po prostu żyć z przyjemnością. Czy to taka ujma na honorze?

I czy świat jest tarczą, żebym miała spędzić życie na celowaniu?

